

BŁUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś. † P.

Józefa Kamocka.

Największy geniusz—serce.
N. Zmichowska.



† Ś. p. JOZEFA KAMOCKA.

serce—jak słońce, któremu się nie oprzeć nie zdoła, i pod technieniem którego wszystko rośnie, rozkwita, dojrzewa. To też szczęściło się jej sercu na świecie. Ono porwało wcześniej s p. Józefę Kamocką do pracy. Zaledwie że sama ukończyła nauki pod kierunkiem takiego pedagoga jak Jachowicz w Warszawie i w Kaliszu na słynnej pensyi p. Emilii Fillebornowej, jąła się zaraz pracy literackiej i nauczycielskiej.

Pierwszym; gorącym więc poetycznym porywem serca i talentu był ładny wiersz dla Jachowicza w „Wieńcu“ wydanym w r. 1857 przez Ludwika Pietrusińskiego ku czci wielkiego, a serdecznego patriarchy polskich nauczycieli. Jego drogą pójść miała sama i prawdę mówiły strofy jej wiersza:

O ty wodzu młodości! Jam z pod
[twej choragwi
Co mi wiała przed duszą, wszech-
[piękna barwami!
Jam z tych, którym do walki
[z życia tego prądm
Zbroileś—pierz dziecinna, jak tar-
[czą—cnotami!

Do zawodu też swojego uzbroiła się cnotami, które uczyniły z niej wzorową nauczycielkę; uczennice jej pamiętają do dziś tę sumienną, cierpliwą, niewyczerpaną, spokojną, niezachwianą, któremi panowała nad licznym nawet zastępem młodych umysłów w b. żeńskim gimnazjum przy ulicy Niecałej, w szkole P. P. Wizytek i na pensyi p. Heleny Budzińskiej. Powagę swego ducha i niezłomne przekonania religijne, społeczne i narodowe miała sposobność wykazać pracując równocześnie w radzie pedagogicznej b. gimna-

Kochali ją wszyscy, od dawna, do końca. Kochali dobrzy, i źli nawet obojętnymi zostać nie mogli. Cenili ją ludzie jako autorkę, poszukiwali jako nauczycielkę, czcili jako przełożoną „Schronienia dla Nauczycielek“ ale nadewszystko kochali.

Ludzie dojrżeli duchem i mauluczcy, kobiety światowe i kobiety żyjące w zaciszu, dzieci rozpieszczona sfer najwyższych i chłopskie pacholeta sylabizujące jej książeczki, wszystko miało dla niej, znając, a nawet nie znając osobiście, jakieś żywsze uderzenie serca, jakieś cieplejsze uczucie zrywające się ku niej.

Dlaczego? Wszakże to była kobieta tak skromna, tak nie wysuwająca siebie nigdy na widownię, tak cicha w swej wytrwałej, a wybornej działalności, że jej zawsze odszukiwać trzeba było, gdy chodziło, o oddanie sprawiedliwości jej zasługom.

Bo w życiu jej całym, w całej pracy, w dziełach drukowanych, czy dokonywanych uczynkach, było zawsze miłujące—serce; proste, prawe i szlachetne, żadne nie sławy lecz pożytku, bliźnich, ohotne do współuczucia, a cierpliwe w własnych utrapieniach, dobre a energiczne, poważne, a zawsze pogodne,

zym żeńskiego, jako bardzo wpływowy jej członek, równocześnie z ówczesnym dyrektorem zakładu Janem Papłońskim i inspektorem X. Adamem Jakubowskim. Gdy przerwała się jej działalność w szkołach publicznych, pracowała dalej prywatnie ucząc ulubionego i ukochanego swego przedmiotu, to jest: języka i literatury polskiej. Miała najgłębsze przekonanie, że znajomość języka ojczystego i zasad wiary są podstawą rozwoju ducha w społeczeństwie, że są tym gościńcem idecznym, po którym społeczeństwo dąży w przyszłość, naprawia swe błędy, wzmacnia siły i odradza się moralnie.

To też nauczycielstwa swojego nie uważała za swój prywatny zawód, dający zarobek i stanowisko, lecz pojmowała je jako misję, jako powołanie wymagające ofiary i poświęcenia, jako zakon, któremu się trzeba nietylko oddać ale i poświęcić, i spełniać go z mocą ducha i niegasnącem uczuciem. „Nauczycielstwo (pisała w 1895 r.) może być kapłaństwem w duchu, a macierzyństwem w uczuciach i skutkach. Jak kapłaństwo, wymaga wyrzeczenia się siebie i zapomnienia o wszystkim, co spełnieniu obowiązków zawadza; jak macierzyństwo, musi stać na gruncie miłości, musi i objąć i ovladnąć całą istotę powierzonych sobie młodzieży; musi rościć sobie i pozyskać prawo do serca, do duszy, do myśli, do stawiania przed jej oczyma ideału życia człowieka, do wytknięcia drogi, jaką ku temu ideałowi się zdąża.“ Pani Kamocka, temi zasadami przejęta, nie dawała tylko lekcji, ale dawała światło, nie uczyła tylko przedmiotu, nie rozszerzała tylko wiedzy swych uczennic lecz pogłębiała ich ducha, nie zapominała o tem nigdy, że młodzież, którą miała przed sobą to są przyszli—ludzie, uważała więc uczennice swoje, jako powierzone sobie dusze, które obudzić przez wiedzę trzeba nietylko dla danej wiedzy, ale dla tej dojrzałej świadomości człowieczej, która wyrabia charakter i jest dźwignią domową, społeczną i krajową.

To też jako wzorowa nauczycielka zyskała sobie ogromne uznanie, szczerze uwielbienie swych wychowanek i wdzięczność ogólną, która w jubileuszu jej działalności znalazła gorący wyraz.

P. Kamocka miała dar jednania sobie nietylko swych uczennic, lecz wogóle pociągania ludzi ku sobie i swym celom, rodzaj atrakcyi łagodnej, a mocnej, która ludzi jednała i skupiała koło niej. Może wpływało na to i jej przekonanie, że:

„Poza związkami krwi i związkami serca są tajemnicze węzły łączące dwie obce sobie przed chwilą osoby, braterskim prawie uczuciem, a za takie węzły uważam: wspólny ideał miłości, wspólny cel i pojęcie pracy, i wspólną o wspólnym dobro modlitwę.“

Ta idea wspólności i uczuć rozszerzała się jeszcze w sercu p. Kamockiej do wspólnego odczuwania cierpień, dolegliwości, umartwień życiowych, i czyniła z niej osobę dającą, czy w książkach, czy w życiu prywatnym wyraz tego nieocenionego daru „współczucia psychologicznego“, wedle wyrażenia jednego z naszych uczonych, i może właśnie to wygórowane u niej rozumienie i odczuwanie życiowych smutków wyniosło ją na stanowisko przelozonej „Schronienia dla nauczycielek“ w Warszawie, na którym wytrwała przez ostatnie lata swego życia. Stanowisko to zaszczytne mogło się ludziom wydawać i łatwym i miłym, póki je widzieli piastowanem przez p. Kamocką, która bezgraniczną bezinteresownością, pracą, poświęceniem i niewyczerpaną dobrocią, pokrywała trudności tego kierownictwa instytucyją, gdzie, co chwila wszelkie kłopoty gospodarskie, domowe, rachunkowe, administracyjne, finansowe graniczą z żywiołem umysłowym, moralnym, nerwowym kilkudziesięciu starych kobiet zwalczonych pracą i goryczami żywota. Istotnie, było to psychologiczne stanowisko niełatwym; bardzo to bowiem trudno stać nad falą uczuć ludzkich, uciszać ją i koić, tulić i pieścić te roje smutnych wspomnień, z którymi znękane pracownice do Schronienia wchodziły i łagodzić te żale, te cierpienia fizyczne i duchowe, te zawody i rozczarowania

licznej gromadki osób nie mających już na świecie innej przystani nad ten dach wspólnego Schronienia z towarzyszkami losu.

P. Kamocka była jakby stworzoną na kierowniczkę, opiekunkę, rzeczniczkę tej smętnej rzeszy sędziwych sierot; to też one straciły w niej matkę. Schronienie rozwijało się pod szczęśliwą jej ręką, rosło, ustalało swój byt, a jeśli z jednej strony zyskiwało szczerze uznanie i poparcie ludzkie jako istotnie niezmiernie potrzebna instytucja, to z drugiej, imię, pani Kamockiej było dla Schronienia talizmanem zyskującym—ludzkie serca i—datki. To też podstawy własnego domu dla instytucji wybudowali ci, którzy p. Kamocką—kochali i czcili. Nie dożyła już tej pociechy, aby zobaczyć Schronienie pod własnym jego dachem, co w niedalekiej przyszłości umożliwił hojny zapis s. p. Czabana, ale na ścianach przyszej siedziby Schronienia zawisnąć powinien na wybitnym miejscu portret tej, która umiała instytucję w związku postawić i rozwinąć do tych rozmiarów, w jakich się obecnie znajduje. Długi, pełen trudu żywot swój (ur. 1830 w Częstochowie, um. 11 List. w Warszawie), dzieliła na pracę pedagogiczną, jako nauczycielka i na pracę literacką jako autorka wielu dzieł i artykułów dotyczących literatury oraz nadzwyczaj sympatycznych książek do nabożeństwa.

Z pism literackich odznaczają się: „Książka do nabożeństwa dla dziewcząt wiejskich“ (1862). „Książka do nabożeństwa dla chłopców wiejskich.“ „Pod Twoją obronę nabożeństwa dla dzieci.“ (1870) „Zdrowaś Marya, nabożeństwa dla młodego wieku“ (1872) „Bądź wola Twoja, modlitwy i rozmyślenia, na wszystkie dni tygodnia dla kobiet“ (1878), i „Krótki wykład katechizmu“ (1880).

Dzieła te były po wielokroć przedrukowywane, co najlepiej dowodzi ich serdecznej wspólności z potrzebami czytelników. Książki do nabożeństwa P. Kamockiej oprócz doborowego układu treści religijnej mają jeszcze zaletę ślicznego języka, i rzetelnego z żarliwego polotu uczuć który tym modlitwom nadaje cechę poważnej, a smętnej poezji. Te same zalety zupełnej poprawności języka, pięknych wyrażen, doborowego stylu, mają dzieła literackie obok systematycznego układu metodycznego, jak „Praktyczny wykład nauki języka polskiego, obejmujący źródłosłów, składnię i pisownię, (1870. Warszawa), „Teorya stylu polskiego“ (1875) „Zasady poprawnego pisania w przykładach“ (1879).

I pracą nauczycielską i dziełami swemi p. Kamocka ściśle wypełniała swój cel zasiewania dobra w sercach młodych, utrwalania w nich wielkiej miłości rzeczy swojskich, ukochania ziemi rodzinnej i przechowania czystych i niezmaconych uczuć wiary w Boga, w przyszłość ludzkości, w rozwój tego ideału, który jednoczy ludzi, ziemię i świat cały w jedną spójnię ducha i pracy.

Z czasem minie i zgaśnie pokolenie, które p. Kamocka uczyła, z niemi wdzięczność uczennic; inne nastaną czasy i inne podręczniki literackie, ale jej książki do modlitwy, duchem gorącym napełnione, do prawdy, siły woli, cierpliwości i męstwa nawołujące, przetrwają długie czasy, na skrzydłach wielkiej mocy ducha unosić będą liczne pokolenia dusz w ich wędrówce po ziemi do lepszego świata, do tej krainy, gdzie po wielu cierpieniach odpocząć pragnęła ta, która krainy tej przecucie nosiła zawsze w swej duszy i zostawiła po sobie w spuściznie dziedziatwo długiej dla ludzi serca swego pracy—miłość.

Szczesna.

POGAWĘDKA.

Zima droczy się z nami.

Jakie o niej wróżby wypadły w dniu Ś. ge Marcina, tego nie wiem, bo zdaje się, że o tej ważnej sprawie nie doniósł żaden z tygodników. pisma codzienne równie się powstrzymały z tą arcyciekawą wiadomością, ja zaś na sumieniu jednej kropli krwi gęsinej nie mam. Według kalendarza mamy jeszcze parę tygodni czasu do właściwego terminu, w którym zima rozpoczyna panowanie swoje, ale straż jej przednia, w postaci przymrozków i mrozów, krupek i płatków śniegowych, oddawna już nam oznajmiła o przybyciu tej królowej białej.—Były nawet chwile, w których zdawało się nam, że już, już mamy ją u siebie: mróz pomalował okna w kwiaty i palmy, niebo patrzyło błękitem rozskrzonym, ludzie zacierali ręce i naciągali na plecy szuby. Markotno szczególnie było biedakom z tak wczesnego przybycia gościa, bo gdy jest głodno i chłodno, czegoż jeszcze do nędzy braknie? Pilne nawet gospodynie, które mogą i umieją zawczasu zaradzić wszystkiemu, strapione były tym arabeskowym deseniem na szyby rzuconym; wzięły się więc z pośpiechem do opatrzenia okien, przy której to czynności parę Marysiek z wysokości drugiego piętra zleciało, pocieszając się tem chyba, że zaspac nie pozwolą Pogotowiu ratunkowemu.

Lecz były to tylko figle zimy.

Po tygodniu prób malarskich na szkle, mgła gęsta na ziemię upadła, czy z ziemi wyszła i gdy nad rankiem człek oczy przetarł, uśmiechnęło się słońce złote, lejąc promienie isticie wiosennego ciepła. Nie cieszymy się jednak, to są figle, figle i figle!

Słyszysz westchnienie—zkaąd ono?

— Figle! ktoś szepce... Ostrzegasz. łaskawco, ażeby złudnym tym promieniem nie wierzyć, ażeby zawczasu opatrzyć piece i piwnice węglem napełnić.

— Wspomniałeś o węglu, — rozumiem teraz westchnienie twoje, posępny mieszkańcze Warszawy. Na życie pracując, pracując nieraz ciężko, grosz zbierasz do grosza, by módz wszelkim potrzebom domowym wystarczyć, a tu słyszysz wesoły śmiech dziatwy, nierozumiejącej jeszcze ciężaru życia, tej dziatwy, która jest najdroższą troską twoją, potrzebującą katechizmu księdza Puciatyckiego, gramatyki łacińskiej, kajetów do dyktówek, piór, atramentu, no, — i mundurków uczniowskich, do których śmieją się oczy, uszczęśliwionych już na myśl samą o tem, wyrostków. Odziać ich potrzeba, książek kupić i wpis zapłacić. Nie dojesz sam i nie dośpisz, byleby tylko na niczem dzieciom twoim nie brakło.—Wiązało się jakoś koniec z końcem, łątało się dziury jak mogło i—choć skąpo—blask ogniska rozweselał szczerupłą izdebkę i ogrzało się czasem przy piecu można było. Wszystko jednak zwiastuje, że zima będzie wczesna i mroźna, a oto—jak strach isticie—stanęła przed nami sprawa węglowa.

Przyzwyczajiliśmy się do cen normalnych, wahających się pomiędzy 90 kopiejkami, a rublem za korec. Bywało czasem, że w przyniesionym korecu brakowało funtów parę, że poczerzany kawał kamienia dopełniał wagi, ale już o to harmidru się nie robiło. Tymczasem coś, gdzieś się popsulo i oto pewnego poranku, w składach węglowych zażądano rs. 1 kop. 20 za korec, na drugi dzień dodano 10 kopiejek, na trzeci cena podskoczyła do rs. 1 kop. 50 w miejscach zaś bardziej oddalonych od kolei wiedeńskiej i o dwóch rublach zagadano.

Chleb i opał są to dwa najważniejsze artykuły życia, bo bez nich zaraz ręce sobie podają: głód i chłód. Podwyższone ceny pieczywa i węgla zamożniejszym zdwoją tylko wydatki; przed biednymi—w postaci groźnego widma nędzy staną. Nic dziwnego, że dzisiejsza kwestya węglowa poruszyła dziennikarskie pióra, a jak

rażnemi zgłoskami zapisali się w sercu społeczeństwa. Do tych należy s. p. Józefa Kamocka znana pracowniczka na polu literackim, zwłaszcza w dziedzinie piśmiennictwa ludowego i religijnego. Zaznaczyła się także nioboszczka i pożytecznymi pracami swojemi dla młodzieży, a jako autorka podręczników gramatycznych języka polskiego i książek do nabożeństwa,—zasłużyła się dobrze społeczeństwu, które też głęboko straciło jej odczuło. Dodać tu także musimy, że s. p. Kamocka była przełożoną Schroniska dla nauczycielek.

Z niewypowiedzianem też uczuciem żalu szliśmy za trumną s. p. Jakóba Kazimierza Gieysztor. Łódź jego życia unosiła się po falach wzburzonych. Osiadłszy w Warszawie, zajął się zbieraniem antyków literackich. W księgarni s. p. Gieysztor można było widzieć kruki białe. W stosunkach przyjacielskich lubiał się otaczać młodzieżą, to też młodzież od kościoła Ś. Krzyża poniosła trumnę zacnego obywatela i człowieka, aż na miejsce wiecznego spoczynku. Karawan ubrany był wieńcami, liczny tłum postępował za trumną. Nad grobem zmarłego przemawiali: ad. przys. Stanisław Leszczyński i inżynier Antoni Winiński.

A oto grób trzeci, a płacząca nad grobem—nędza.

Komu obcem jest nazwisko Stanisława Jachowicza, wierszopisarza i największego przyjaciela dzieci?...

Za życia wyciągał do nich dłoń pomocną, a po śmierci karmi je swemi utworami.

I oto zdarzyło się, że stryjeczne jego wnuczęta znalazły się w położeniu, z którego tylko krok jeden do nędzy.

Onegdaj po kilkumiesięcznej chorobie, w skromnym mieszkaniu na Pradze (Wileńska Nr. 11) rozstała się z tym światem Marya z Jachowiczów Czaki, córka Juliana, brata Stanisława Jachowicza. Mąż jej na kilka miesięcy przed nią zmarł w szpitalu Dzieciątka Jezus. Pozostało po nich troje dzieci bez środków do życia, bez grosza na pogrzeb matki. Najstarsza córka, wyczerpana wielomiesięcznym czuwaniem u łóżka matki, jest chora i potrzebuje opieki lekarskiej.

Oprócz niej pozostała dziewczynka 10-letnia, Bronia, i chłopiec 7-letni, Gabrys. Oboje ujawniają zdolności i chęć do nauki.

Czyż dzieci te mają zginąć w nędzy? Czy ci, co unoszą się nad szlachetnością i pięknosciami utworów Jachowicza, pozwolą, aby jego wnuczęta przymierały głodem fizycznym i moralnym?

Nie zbraknie chyba serc szlachetnych, które pośpieszą z pomocą tym sierotom nieszczęśliwym.

??

Wystawa pracy kobiet.

IV.

Działem nieledwie artystycznym, a bardzo bogato na wystawie reprezentowanym, są hafty. Oprócz zakładów dobroczynnych, o których mówiliśmy już w poprzednich sprawozdaniach, wystąpił tu z pięknymi okazami, cały szereg pracowni. Obok Jadwigi baronowej Reiskiej, której aparaty kościelne szeroką, a zasłużoną cieszą się sławą, spotykamy dwa słupy do ornatu, złotem haftowane oraz próby pojedynczych kwiatów i deseni, p. Stanisławy Jungmann. Stare zabytki strojów kościelnych, umiejętnie

odrestaurowane, nadesłała p. Karolina Drojecka, ze Stryjny. Inne wystawczynie dały chorągwie cechowe. Podziw ogólny wzbudza także ornat z XV-go wieku, który pomimo niepotrzebnych odnowień, świadczy o wysokich zdolnościach konserwatorskich i artystycznych, p. Florentyny Sahajdakowskiej.

Dziedzina haftów salonowych nader jest bogatą. Wyróżnić tu należy: *panneaux* p. Chorażyny; ekrany, ściągami gobelinowym i poduszki na pluszu, p. Maryi Fiorentini, ekran p. Dukat, wreszcie, *last but not least*, roboty p.p. Leśniewskich. Przedstawiły one bowiem, okazy iście amatorskie. Osobne, ładnie zaślane łóżko, prezentuje nam kapę, owoc benedyktyńskiej cierpliwości, złożoną z koronki klockowej, haftu i malowania na ciemno wiśniowym aksamicie. Bogate to, należyście drogie, lecz... ciężkie. Obok ustawiono parawanik, ozdobiony haftem złotym, wszystko wykonane bardzo dokładnie i bardzo ładnie. Należy wreszcie wymienić tu, hafty uczennic z pensyi p. Anieli Hoene, oraz p.p. Baudouin de Courtenay, Bzowską Maryę i w. in.

Hafty podolskie, złotem, srebrem i jedwabiami, nader ładne i przez ogół należyście już cenione, stanowią przejście do wyrobów włósciańskich. Niestety, przemysł ten świeci prawie nieobecnością na wystawie. Złożyły się na to rozmaite powody, a przedewszystkiem szczupłość lokalu i brak czasu. Włóscianie, nieufni z natury, niełatwo skarby swe nadsyłają; namówienie ich więc i przygotowanie do tego wymaga dłuższego terminu; wystawa zaś, jakkolwiek zaprojektowana na wiosnę, urządzoną była w bardzo pośpiesznym tempie, na jesieni dopiero. Podwójna też wdzięczność należy się p.p. Kleniewskiej Joannie i Parczewskiej Melanii, z których pierwsza wystawiła mały warsztat tkacki z próbami bardzo ładnych, wyrobów, druga zaś, ubranie ludowe, z okolic Kalisza. Dopóki przemysł fabryczny nie zabije tkanin domowych, dopóty można liczyć na utrzymanie odrębności stroju wieśniaczego. Próby jego, jak: płótno, kilimki, samodziały i wełniaki, dały „Wystawa Etnograficzna“ i p. Kuczborska, za Smardzewa, pod Sieradzem.

Znana z postępowego gospodarstwa i domowego przemysłu, p. Irena Ryxowa, z Woli Prażmowskiej, wystawiła rzecz jedyną w swoim rodzaju, a bardzo ciekawą, bo warsztat pokojowy do wyrobu prawdziwych dywanów Smyrnieńskich, wraz z rozpoczętą robotą takiegoż dywanu.

Do rzadszych również okazów przemysłu domowego należy przedza jedwabna, oraz własnego wytworu: płótna, trykotaże, kaftany, koszule, chustki i prześcieradła, z przędzy tej tkane, wszystko cienkie, równo i doskonale wykonane. Pionierką nowej tej gałęzi jest p. Franciszka Banna, z osady Sielce, pod Warszawą.

Mało mamy kwiatów, ale za to rośliny dekoracyjne p. Fleischer'a, jego piękne świerki i mimozy, oraz przesliczne róże p. Siwińskiej, dostatecznie reprezentują przemysł ten, bardzo w Warszawie rozwinięty. To samo można powiedzieć o doskonałych wyrobach pasmateryjnych, pań: Wojewódzkiej, Pomorskiej i Weinberger. Szczególniej przybrania do sukien i galony pierwszej, a hafty dzietem na tiulu drugiej, na rzeczywiście zasługują uwagę.

Bez zarzutu również są buciki firmy Bałutowskiej, oraz abat-jour'y, p. Cwierdzińskiej i Stokowskiej.

Delikatne te pokrycia na lampy, sprowadzane z zagranicy sumy pochłaniały. Dobrze więc, iż wobec wszechwładnej na nie mody, pośpieszono rozwinąć na szerszą skalę wyrób ich krajowy. *Abat-jour'y* obu firm, jakkolwiek ładne, lekkie i starannie wykonane, posiadają wszakże jedną wadę, są—zbyt drogie. Ceny te nie ustępują w niczem zagranicznemu, bez względu na cło i koszt sprowadzenia.

Do nowych również, a bardzo pożytecznych i niezbędnych gałęzi przemysłu, należy zaliczyć

kapelusze głogowieckie, oraz plecionki słomiane, do szycia ich służące: Pani Ludwika Zaleska, której inicjatywie i niestrudzonej zapobiegliwości wyroby te zawdzięczamy, potrafiła zdobyć już dla nich zasłużoną sławę. Lekkie, gustowne i praktyczne, kapelusze głogowieckie ogólnie są poszukiwane. Jeżeli dziś jeszcze kupujemy zagraniczne, to głównie dla tego, że krajowych nie wystarcza na wszystkie zapotrzebowania. P. Zaleska, dając plecionki, objaśniła poniekąd poglądowo, fabrykację swych okazów. Nie uczynił już tego pan Friedberg, wskutek czego nie jesteśmy pewni, czy materiały do pięknych jego kapeluszy nie są z zagranicy sprowadzane.

Do nowych również działów pracy niewieściej, należą próby pisania na maszynach Remington'a, wystawione przez firmę „Ekonomia“, która ogłasza, iż przyjmuje wszelkie rękopisy do mechanicznego kopiowania.

Wyczerpawszy, nie listę pracowni, bo na to nie mamy dosyć miejsca, lecz główne działy przemysłu i rękodzielnictwa, pomieszczone na wystawie, spróbujmy teraz, objąć całość jej jedynym rzutem oka.

Przedstawia się ona wykwiśnię i malowniczo, lecz nieco chaotycznie, dla ciasnoty miejsca bowiem, niepodobna było usystematyzować jej należyście. Ograniczona, w założeniu samem, do dwóch zakresów: sztuki stosowanej i rękodzielnictwa, pierwszy przedstawiła świetnie i wyczerpująco; w drugim zaś, wykazała pewne braki.

Sztuka stosowana, artystyzm wrodzony każdej polskiej kobiecie, a nadający otoczeniu jej czar pewien, doszły u nas do takiego rozwoju, iż bez oglądania się na zagranicę, mogą przeciwnie, po zaspokojeniu miejscowych nabywców, szukać już rynków zbytu w Cesarstwie. Niech nikt nie dowodzi, że gobelinów, rzeźb i malowań mamy za dużo. Potrzeby wzrastają w miarę wyrobienia smaku, a to co wczoraj było zbytkiem, może stać się jutro niezbędnym przedmiotem codziennego użytku i ozdoby. Sztuka więc, umiejętnie stosowana do przemysłu, powinna po obecnej wystawie jeszcze więcej znaleźć adeptek.

Rękodzieła przyniosły nam rzeczy przepiękne, zupełnie nowe, a ze sztuką często silnie związane, jak: mozaiki, hafty artystyczne (stalowane od nas do Paryża), koronki brabanckie, domowe wyroby dywanów „Smyrna“ i tkanin jedwabnych, ect.

Z drugiej jednak strony, dział ten wykazał również braki i to w zawodach najsilniej w Warszawie rozpowszechnionych.

Nie widzimy tu np. wcale: krawatów, modniarstwa, rękawiczek, mało trykotaży, ani śladu wykwiśnię „konfekcji“, fryzjerstwa, dekoratorstwa, bukieciarstwa i tylu innych zawodów, które w zakres wystawy rzemieślniczej wchodzić powinny. Nie pośpieszono z nimi dla tego może, że są aż nadto już znane i uznane.

Wystawa więc, ograniczona do sztuki i rękodzieł, a i w tych jeszcze nie zupełna, nie jest naukową, dydaktyczną i nie wyczerpuje całokształtu pracy kobiet. Zobrazowanie jej wszakże, nader jest trudnem. Bo gdybyśmy nawet dodali: pracę w fabrykach, gospodarstwo, ogrodnictwo, dobroczynność, wychowanie, szkolnictwo sztukę i literaturę, w których tyle świetnych błyszczy imion, tyle sław godnych europejskiego rozgłosu,—że dość wspomnieć: Bilińską, Boznańską, Orzeszkową,—to jeszcze pozostałaby niewyzyskana cała działalność kobiety tam, gdzie łączy się ona nierozdzielnie z pracą męską.

Nie mogąc przeto zorganizować wystawy wszechstronnej, sądzimy, że dobrze uczynił komitet, ograniczając się do dwóch jej działów. Stworzył bowiem całość: ładną, wykwiśnię i pouczającą. Sam fakt, iż do popisu stanęły nie firmy zamożne i uznane, lecz prywatne pracownice, objaśnia, że inicjatorzy wystawy do-

pięli celu: Z jednej strony bowiem, stworzyli konkurs dla sił młodych, a nieznanych; z drugiej, pomogli tysiącom kobiet do zorientowania się, na jakiej drodze znaleźć mogą, bądź to umilenie życia, bądź ucziwie zapracowany kawałek chleba, spokój i niezależność.

Stokroć szczęśliwy, kto zdobył te trzy warunki, są one bowiem, najlepszym puklerzem godności człowieczej.

Anatol Krzyżanowski.

GDY UMRE.

Gdy umrę, w suknię ubierz mnie białą,
W welonu otul spowicia
I daj mi krzyżyk w rękę skostniałą:
Cięższe dźwigałam za życia.

Te krzyże smutków, bólów, tęsknoty—
Kędy gwiazd złota lśni droga—
Z lżą samotnicy, z jękiem sieroty
Poniosę w błękit—do Boga!

Kaplicy ciemnej lękam się—pokój
Zielenią ustrój i kwiatem,
I w niezabudki trumnę mą okuj,
Byś mię odnalazł za światem!

A gdy mnie potem w grób ciemny złożą
Nie płacz—i czekaj kochany!
Aż i ty światłość obaczysz Bożą,
Na wieki ze mną zbratany!

Władysława.

KAROL LAMB.

Dawno znajome mi twarze.

Miałem rówieśnych, miałem towarzyszków,
W latach dzieciństwa, w błogich latach
[szkolnych..]
Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Śmiałem się niegdyś i biesiadowałem,
Pijąc do późna w lubych druhów kole...
Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Niegdyś kochałem z kobiet najpiękniejszą...
Przejsz mi jej progę... widzieć jej nie wolno!
Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Jam przyjaciela miał... niema lepszego
Nikt... jak niewdzięcznik nagle go rzuciłem,
By rozmyślać o dawnych, znajomych mi twa-
[rzach!]

Jak duch błądziłem po miejscach dzieciństwa...
Ziemie musiałem przejść, niby pustynie,
Szukając znikłych dawno, znajomych mi twa-
[rzy!]

Druhu serdeczny mój, więcej niż bracie!
Gdybys się zrodził w mego ojca domu,
Moglibyśmy wspominać dawno znikłe twarze!

Jak jedni zmarli, jedni mnie rzucili,
Innych mi wzięto... wszyscy już odeszli!
Wszystkie już znikły dawne znajome mi twa-
[rze!]

Przełożył z angielskiego

Władysław Nawrocki.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Szła, jak senna, wewnętrzny płacz rozrywał jej serce, zaciskała wargi do krwi, by krzyk stłumić. Piękne teorye Aleksandra rozplływały się w nic nieznaczących frazesach, prozelitów znajdował coraz więcej i holdowników haseł nowych, które miały się w czyn kiedyś zamienić. On był rzecznikiem sprawy, inni mieli być wykonawcami; zasadę dobrobytu wysunięto na wierzch, lecz na czym się ów dobrobyt opierał, do czego prowadził? Praca u podstaw? zejście do nizin? wyrzeczenie się przesądów dawnych?—Mówił niegdyś i Gustaw o tem — ale on nie ochraniał głowy ni piersi swojej... Wysmiewano jednak to, co on kochał;—dziś zaś Aleksander rzucił w oczy Jadwidze słowa:

— Pogódź się z Porczyńską!

Dla czego?

Że przysła do niego, po radę, po pomoc—ona, która do nizin właśnie zesła, która, tak głośno wyjawianą teoryę brata, w czyn zamieniła.

Gorycz zalewała jej usta...

Jeżeli jej kiedy przychodziło na myśl ofiarę z przekonani swoich zrobić—dziś już myśli podobnej nie przypuściłaby do siebie. Czuli się wyższą nad tłum, którym gardziła, choć czuła ból, że gardzić musiała—

— Dwa lata tylko, — szeptała, przechodząc próg swojego pokoju,—dwa lata tylko wytrwania, męki... Gustaw wróci—a wtedy jasne promienie światła pod stopy jej się rzuca, a wtedy zwycięstwem wielkiem wynagrodzony trud jej zostanie.

Mrok zapadał, ojca nie było, wyszedł na miasto, matka w kuchni zajęta była z Janczewską. Jadwiga chodziła wzdłuż salonu, zbierając myśli rozpierzehnięte i nie słyszała jak ktoś wszedł de sieni i w progę stanął.

— Jadwiga! — odezwał się po chwili gruby głos Heleny.

Jadwiga zbudziła się z marzeń.

— A—to ty, Helenko!

Podeszła szybko i przywitała się serdecznie z przybyłą.

Helena wzięła ją za rękę, uściśnęła mocno i rzekła:

— Słuchaj no, ty, potępiona nauczycielko Dudkowskich... Może mnie nie lubisz, może ci się koczkonodem wydaję—mniejsza o to! Ale masz moje uznanie, to znaczy szacunek i przyjaźń—dość więc dla mnie! Jeżeli nie zechcesz być szczerą ze mną—pal cię sześć... to nie przeszkodzi jednak, ażebym nie miała Gawłów, Pawłów i wszystkich Porczyńskich w pięcie. Spi-

knęli się na ciebie—nosem zwąchałam... a ty potrzebujesz zarobku—mów prawdę—tak?

Jadwiga milezała.

— Bieda was gryzie! Może inni nie widzą, ale ja widzę— Ty od przekonani swoich nie odstąpisz, bo to byłoby paskudztwo, i jaby w tedy ciebie na oczy widzieć nie chciała. Musicie coś radzić—

Jadwiga zdziwionemi trochę oczyma patrzyła na Helenę; śmiała się nieraz z jej dziwactw, z przyjaźnią się nie oświadczała i zawsze obojętną była dla niej. Dzisiaj szorstkie słowa Heleny, dziwną jakąś nutą uderzyły o jej uszy. Wzięła Helenę za rękę i poprowadziła do sofki.

— Siadaj—powiem ci wszystko szczerze — rzekła.

— Potwierdź to, o czem ci mówię, bo ja nie lubię długiej gadaniny.

— Więc—tak!... Jest mi ciężko, lecz tu nie o mnie idzie!..

— Rodzice—wiem!... Otóż słuchaj! Żadnej nie ułękiesz się pracy?

— Niel!..

— Spodziewałam się tego. Zatem—mam dla ciebie zajęcie.

— Jakie, Helenko? — spytała Jadwiga pośpiesznie.

— Niewyśmienite! Dwadzieścia rubli miesięcznie, pięć godzin roboty dziennie, a po upływie kwartału dodadzą ci jeszcze pięć!

— Cóż to jest takiego?

— Szyć kapeluszy, dobieranie barw właściwych do strojów, tak, ażeby małpka każda jak Wenus wyglądała.

Jadwiga uśmiechnęła się.

— Za trudne to trochę zadanie.

— Ale wykonasz. Powiedziałam, że znasz się na tem, umówiłam się za ciebie, pół miesięczną pensyę z góry a pół z dołu, traktament ucziwy, bo już wtedy ze mną będą mieli robotę. Cóż ty na to?

Jadwiga zaczęła całować Helenę—

— Bez czułości tylko—bo to dyabła warte.—Miej tylko trochę więcej przyjaźni dla mnie, bo wyżej cię stawię od wszystkich szarogrodzian. Dodam tu jeszcze, że i twój Oleś nie zapomni o was—

Czoło Jadwigi zmarszczyło się—

— Oleś!—szepnęła.

— Tak— Wczoraj oświadczyłam mu się i zostałam przyjęta...

— Co ty mówisz, Heleno?

— Obrzydło mi już nie to, nie owo... Chcę już mieć męża...

— Byłam dziś u brata i nic mi o tem nie wspominał.

— Byłaś?

— Tak—

— Dlaczegoż nie nigdy nie mówiłaś mu o sobie i o rodzicach?..

Coraz głębsza bruzda zarysowywała się na czole Jadwigi—

— Widziałaś pierwszy numer nowego piśmie?—spytała po chwili Helena.

— Pokazywał mi Oleś.

— Zaczęłam tam o macierzyństwie pisać. Fajn, powiadam ci, artykułik. No, ale wspominałaś Olesiovi o sobie i rodzicach? Gadaj szczerze!

— Mówiłam—

— I co?

Jadwiga zawahała się.

— Nie pytaj!—szepnęła po chwili.

— O! coś ukrywasz—ze mną otwarta bądź!.. Wall!..

— Kazał mi się pogodzić z panią Porczyńską.

— Kiepl!..

— Heleno! przecie to twój narzeczony?—zauważyła Jadwiga.

— Sam będzie musiał z Porczyńską zerwać—

— Daj pokój! Idziemy innemi drogami—

— Zobaczymy, zobaczymy. Tymczasem do widzenia, bądź jutro u mnie, pójdziemy do Kwiatkowskiej i dobijemy interes na miejscu.

— Do siebie wracasz?—

— Idę do narzeczonego—

— Nie mów mu o tem o czem ci wspomnia-
łam, o—rozmowie mojej z nim.

— To moja rzecz!

— Proszę!

— Nie słucham!...

Uściskała Jadwigę i wyszła.

Jadwiga chwilę długą stała nie ruszając się z miejsca zapatrzona w drzwi, które wyszła Helena. Zdawało się jej, że się ze snu zbudziła, w którym bezładne snuły się marzenia jakiegoś Kwiatkowska, oświadczyły Heleny, od kpa potraktowanie narzeczonego...

Uczuła zamęt w głowie.

Sen, głupi sen!

Jadwiga śmiać się chciała— — Odezwał się dzwonek...

— Zapewne ojciec wrócił!...

Pobiegła i otworzyła drzwi szybko.

Wszedł Dudkowski!...

Z uśmiechem radości Jadwiga powitała gościa.

— Witam pana—serdecznie witam!... Ale co pana sprowadza do mnie? Za chwilę miałam wyjść do państwa.

Poprosiła do salonu...

— Proszę siadać!...

Spojrzała przez drzwi na zegar wiszący w jadalnym pokoju.

— Za kwadrans wyjdziemy razem, zbliża się czas lekcji!...

Dudkowski poruszył się.

— Ale nie u mnie—pani dobrodżiko— —

Jadwiga stanęła jak odurzona i spojrzała na szewca. Nagle jej na myśl przyszedł Andrzej!...

Płomienie uderzyły na twarz, bała się niewypowiedzianych jeszcze słów Dudkowskiego.

— Nie u pana? Dla czego?—spytała z niepokojem.

Dudkowski zaczął:

— Bo to widzi, pani dobrodżiko, pani przychodzi do Józka, a tymczasem gromada się zbiera i codzień powiększa się, jak nieprzymierzając, grosz u żyda. To krzywda dla pani, a przecie i szewc ma swój ambit. Oto postanowienie takie zapadło, że u mojego kolegi, Ignacego Kulaka, będą się zbierali chłopcy. Izba duża, że i stu chłopców pomieści!... Dziś już zapisało się pięćdziesięciu—a będzie więcej, bo jeden drugiego namawia, a palą się do nauki tak, że aż strach!... Ale my, starzy szewcy, zebrali się i powiedzieli sobie: Darmo nie dajemy butów, darmo nie chcemy nauki. Po 60 kopiejek od duszy zapłacimy, to będzie miesięcznie, jak na teraz 30 rubli. Taka zapadła uchwała, nie przemieniona jak amen w pacierzu. Ja od zgromadzenia przychodzę z prośbą do pani. Nie odmów nam, serdeczna pani nasza, twojej pomocy w oświetleniu ciemnych i głupich. Zapaliłaś ogień, teraz dmuchać trzeba. Jak pokarkujemy, to może i więcej dodamy—ale teraz taka umowa zapadła, mocna jak but Dudkowskiego.

Z uczuciem wdzięczności i radości niekłamanej Jadwiga uściskała pocziwą dłoń szewca.

— Ale Józek osobno proszę pani. Do niego pani będzie zawsze przychodziła— —

— Al! więc będę przychodziła do pana!...—zawołała uszczęśliwiona— —

— Za Anderka zapłacę!...

— Nie—nie,—przerwała Jadwiga.

Dudkowski się upierał, ale nic tu już poradzić nie mógł.

Wyszli razem, ale przedtem musiała Jadwiga radośną nowiną z matką i Janczewską się podzielić. Prawda, dzień cały zajęta będzie, lecz po obrachunku ścisłym, zarobek miesięczny, łącznie z lekcjami u Fokiewicza i pracą u Kwiatkowskiej dosięgnie cyfry sześćdziesięciu pięciu rubli miesięcznie!...

Doskonale spała tej nocy, kołysały ją marzenia dobre, Gustaw się wyśnił, całował włosy ciemne i szeptał:

— Jak twoje warkoczki pachną!...

Leżała jeszcze w łóżku, gdy jak bomba Helena wpadła.

— Helenko! zaraz ci będę służyła— — Ubiorę się tylko! wyjdź na chwilę— —

— Ceremonje!—odezwała się Helena.

— Co się stało?—spytała Jadwiga.

— Awantura— — —

— Jaka? gdzie? z kim?

— Z panem Aleksandrem zerwałam— — —

Jadwiga skoczyła na równe nogi.

— Co się stało?

— Czy wiesz, że on rzeczywiście chciał, żebyś pogodziła się z Porczyńską? Czy słyszałaś? Zrobiłam mu taką awanturę, że myślałam, iż cała kamienica zleci się— —

— Ależ, Heleno!

— Czy ty myślisz, że ja dla wąsów, zasady swoje zmienię? Lubie wąsy, ale więcej ciebie i siebie cenię. Wiedz o tem—a bratu swojemu powiedz, że dam drugi artykuł do pisma pod tytułem: „Koń Jezusowy!... Do widzenia! za godzinę czekam na ciebie.

Jadwiga coś chciała powiedzieć, ale już nie Helenę lecz Janczewską ujrzała przed sobą.

— Co to takiego było, Jadziuniu?—spytała Marcja.

— A czy ja wiem co?—odpowiedziała Jadwiga— —

Ubrała się pośpiesznie, za godzinę z Heleną u Kwiatkowskiej była.

Dni teraz biegły szybko, nadeszła Wigilja, przy stole jedno niezajęte krzesło stało. Gdy pierwsza gwiazda zabłysła na niebie, Jadwiga, po przełamaniu się chlebem anielskim z rodzicami, bratem i służbą—zwróciła się na północ i krusząc biały opłatek w rękę, szepnęła:

— To dla ciebie—to, z tobą— — Wracaj, wracaj!

Nigdy tak uroczysty nastrój nie był podczas uczyty wigilijnej, jak w dniu dzisiejszym. Wspomnienia lat dawnych nawiedziły tłumnie rodzinę Sośnickich, z wyjątkiem Aleksandra, który chciał koniecznie ożywić mileczących, pogrążonych w jakiejś zadumie głębokiej. Lecz, albo odpowiadano mu półgębkiem, albo niesłyszano, co mówił. Zmilknąć więc musiał, usta tylko uśmiechały się ironicznie.

Starzy Sośnicy przenieśli się myślą do rodowej siedziby swojej—przypominali czasy dawne, w których szczęście w dłoń klaskało a życie, niezamącone żadnymi przewrotami losu, spokojnie płynęło i cicho, jak fale na kryształowym jeziorze, zaledwie silniejszym tchnieniem poruszane wiatrem.

Sośnica!

Pan Mateusz westchnął głęboko— —

Wigilja!

Westchnęła pani Marta— —

Zwyczajem tradycyjnym było w rodzinie Sośnickich, że krewni bliżsi i dalsi, należący do herbu jednego, zjeżdżali się w dzień Wigilijny albo do najzamożniejszych, albo do najstarszych w rodzie. Najstarszymi i najzamożniejszymi byli Sośnicy. Zjeżdżała się więc do nich rodzina cała i dom napełniał się gwarem i okrzykami wesela, i to wesele trwało nieraz tydzień jeden i drugi, czas mijał szybko, żegnano się z nadzieją zobaczenia się na rok przyszły, z wiarą, że życzenia się spełnią, które, przy łamaniu opłatka udzielano sobie nawzajem.

Okropny zawód!

Rozwiały się sny—rozpierzehła się rodzina, daremno byłoby teraz szukać jej po świecie.

Pan Mateusz spał kieliszek wina i milczał, pani Marta rzuciła niekiedy wzrok na Jadwigę, którą kołysało marzenie jakiegoś, a oczy łzami czasem zachodziły.

I ona miała wspomnienia i ona miała już kartę życia zapisaną łzami i krwią!...

Milcząca wieczerza skończyła się—Aleksander powstał.

— Nie lubię towarzystwa trapistów,—rzekł—zatem pożegnaj zannurzoną w kontemplacji rodzinę moją i pójde, gdzie będę mógł weselej czas przepędzić.

— Czy jesteś zaproszony dokąd?—rzucił Sośnicki.

— Tak!

— Dokąd?—spytała matka.

— Do... do pani Porczyńskiej. Jestem tam dobrze widziany, a na święta przyjechała do niej daleka krewna, panna Izabella Rabska. Obiecałem być, po spożyciu u rodziców wieczerzy.

Powstał i zaczął się żegnać— —

— Poczekaj chwilę Olesiu,—odezwała się Jadwiga.—Pójde z tobą!...

Aleksander wpatrzył się w siostrę.

— Do Porczyńskiej?—zapytał zdziwiony.

— Cha-cha-cha!—zaśmiała się Jadwiga.—Zakogo ty mnie masz, Olesiu?...

— A dokąd, Jadziu?...

— Na Pasterkę— — Miałam pójść z rodzicami, ale mama czuje się trochę niezdrową a tatuś!...

— Tatusz zostanie z mamą,—odezwał się Sośnicki.—Pomodlimy się tutaj— — Radziłbym i Olesiuwej zająć do kościoła.

— Ja—do kościoła?...

— Prawda! wy tam nie bardzo w to wszystko wierzycie— —

— Zupełnie nie wierzycie, mój ojczel!... No—Jadziu!—zwrócił się do siostry.—Wybieraj się!...

— W tej chwili będę gotowa— —

— Lecz sama już wrócisz— —

— Nie!

— Z kim więc?

— Albo pana Pawła spotkam, albo którego z Dudkowskich!...

Aleksander skrzywił się— —

— Chodźmy zatem— —

Wyszli— —

Kościół był przepełniony, tłum śpiewał kolendę, jarzyły się światła, tłok był okropny.

Jadwiga, pożegnawszy brata, weszła do świątyni, lecz nie mogąc dotrzeć do środka, zatrzymała się przy pierwszym filarze. Po chwili głos jej złączył się ze śpiewającym tłumem i zapanał nad głosami wszystkimi. Brzmiał czysto, dźwięcznie, jakby ulany był ze srebra i kryształu, że niejeden obrócił się i szukał oczyma śpiewaczki, obrócił się i Paweł stojący niedaleko głównego ołtarza, a Andrzej szepnął:

— Mój czar! moje niebo!...

Nabożeństwo się skończyło—zakolysały się fale wychodzącego tłumy. Stary Dudkowski dostrzegł Jadwigę i zbliżył się do niej.

— Pani sama?—zapytał.

— Tak—i mam nadzieję, że pan odprowadzisz mnie do domu.

— Tylko nie do domu, z przeproszeniem łaski pani—to jest, nie do domu pani, lecz do mojego. Musi pani być u nas i razem z nami wszystkimi opłatek przełamać!...

Jadwiga obejrzała się w koło i spostrzegła Pawła. I on ją dostrzegł, ale przez tłum przecisnąć się nie mógł. Panna Sośnicka zwalniała kroku, na zapytania Dudkowskiego odpowiadała trochę z roztargnieniem, jakby nasłuchiwała, czy kroków czyich nie posłyszycy za sobą. Ale tłum rozechodził się w lewo to w prawo, coraz mniej przechodniów na ulicy było, tak, że gdy się zatrzymała przed domem Dudkowskiego i spojrzała raz jeszcze wzdłuż chodnika, dostrzegła tylko samotny cień jakiś, który się oddalał i znikł na zakręcie ulicy.

W tej chwili odezwały się dzwonki i tentent kopyt końskich. Kilkoro sań przesunęło się szybko. Jadwiga miała wejść do bramy domu Dudkowskiego, lecz zaciekał ją ten sznur sianek, parskanie koni, zaprzęg nie dorożkarski wcale i strój woźniców, na których świeciła liberya. Zatrzymała się więc z opartą ręką na kłamec furtki i patrzyła chwilę na niebywałą dotąd szlichtadę w Szarogrodzie.

Noc była jasna, bo księżyc świecił i pełnym blaskiem oblewał wszystkie domy i ulice miasta, jasności dodawała jeszcze biała szata śniegu i niebo przezroczyście, jak kryształ, przesiąknięte całe srebrnymi promieniami miesiąca. Jadwiga mogła doskonale widzieć rys każdy przemijających szybko postaci, jeżeli zresztą nie z twarzy, to z ruchu i głosu by poznała, bo bawiono się dobrze, rozmawiano głośno, wesoły nieraz śmiech zabrzmiał.

W pierwszych saniach, które mignęły przed jej oczyma, dostrzegła panią Porczyńską w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Pani Eliza poznała także Jadwigę, lecz jakby jeszcze upewnić się chciała, wychyliła się z sań i spojrzała w twarz jej prosto. Przemknęły drugie sanie—w nich siedziała Marynia z Laminowskim,

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Salii Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

*

*

Duch twórcy „Irydyona,” zapatrzony w tajemnicę wszechbytu, w dzieje ducha ludzkości, w świat ideałów, mających po promieniach gwiazd zlecieć z wyżyn nieba na ziemię, aby stworzyć krainę najwyższego dobra, prawdy i miłości,—nie oglądał się na znikome zjawiska ziemi, na rzeczywiste jej zarysy. Dla Zygmunta Krasińskiego przyroda — to, albo cząstka wszechbytu, albo obraz fantazyjny, który poeta stworzył dla lepszego uwydatnienia idei. Duch wieszczca wzlata na skrzydłach tej idei w wyżyny, zrzuciwszy z siebie łachmany ciała, a żyje on nie tylko w sobie, ale też w duszach innych, które „sypie jak liście żółkłe i strąsnięte;” siły ich wciąga w siebie, żyjąc „ich zgonów żałobą.” Duch ten płynie, w wszech bezmiarów błonie, a dąży do „ducha twórczego gwiazd, anioła, człowieka,” do „Ducha—słońca,” tam, gdzie aniołowie „kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu.” Tam on ogląda krajobrazy nadziemskie, „mleczne pierścienie i pręgi,” „co—raz to szersze lazururowe kraje”—widzi nieskończoność; tam panuje miłość bez granic, tam życie bez końca. Bóg we wszechświecie jest „ogni w wszechstworzenia wiązany łańcuchem,” „On, jak Myśl, w świecie mieszka i, jak Byt, wieczysty...” „Lecz za świata krańcem on jest osobisty.” „Rozlał się po wszej ziemi, a został na niebie.”

To połączenie panteistycznego odczucia wszechświata i wszechbytu z wiarą w jedyne, osobistego Boga jest wielce oryginalnem i odróżnia Krasińskiego od innych poetów-panteistów.

Z wyżyn swego metafizycznego tronu Bóg naszego poety ma zstąpić na ziemię wiosną miłości i czynu, zstąpić z „widnokregu wszechbłękitu,” a ten wszechbłękit będziemy „pili duszą,” aż nam „wszystko zbłękitnieje.”

Odczucie metafizyczne przyrody daje nam w poezji Krasińskiego obraz stopniowego uduchowienia istot od kamienia, aż do człowieka, od „sennego wszechzaczętu życia,” aż do przywianego z daleka ducha, który „wdziewa na się pierś człowieka...”

„Głaz, kwiat, zwierzę śniły zcicha—
„On ku Niebu pnie już głowę—
„Do Aniołów pieśnią wzdycha
„Między gwiazdy eterowe.”

Gdy opisuje nam uroczy krajobraz, w którym „nad Alp śniegiem rozwieszono Włoch błękitny,” poeta wnet przywołuje Boga, aby krajobraz ten objął cały ramionami swemi, od „wód dołu,” aż „do skał czola.” Rzeczywistość na chwilę tylko zatrzymuje zapatrzony w świat ducha wzrok śpiewaczy; przemienia się ona natychmiast „w świat ideału,” w „sen ze srebra i kryształ.” Znikają urocze obrazy natury alpejskiej, wyobraźnia śpiewaka widzi „zimowy step głuchy,” „szum wiatru niesie jej płacze,” napęnia się ona widziadłami duchów, które, to wieszają się na opokach, „jak płomyki—jak ogniki,” to znów idą przez fale „ku wschodowi,” ku jutrzence, a ze świtem, „płonąc i mdlejąc,” znikają.

Widziadła te tak są drogie sercu poety, że wezbrana szczęściem pierś jego pragnie objąć widnokreślone światło i przycisnąć do siebie. Rozbrzmiewa pieśń miłości dla przyrody, lecz nie dla jej kraszy ziemskiej, a dla widziadł, które poeta ujrzał w cieniach przedświata.

Pieśń wieszczca głosi wiarę, że zło w przyrodzie, ten szatan, który „chadza dumny w wichrów chórze,” który „wyje na fali, grzmi w chmurach i zabija piorunem”—upadnie, ze zwłok jego powstanie inna postać, „seraf Boży,” anioł dobra, a naówczas we wszechświecie harmonia wiekuiście zapanuje.

Nawet wtedy, gdy pieśń poety opiewa łąki zielone, fale kłosów i szum borów, porusza głosy przyrody dla tego, aby odczuć w nich „ziemi żale,” lub wysłuchać „hymnu umarłych.” Gdy znowu każe nam oglądać pod niebem okolice Wenecyi, jak o wschodzie „w purpurze Bóg dnia się zrywa,” to w tym celu, aby stworzyć alegoryę narodzin pana ziemi — człowieka, i aby w gwiazdeczce ostatniej, umierającej w błękitach, ujrzeć konanie serc tkliwych „przed światłem geniuszu.” W innym miejscu, kreśląc obrazy fantastyczne, w których „zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce” tłoczą się i giną w oddali, łączy z niemi „serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane.” Niekiedy poeta przywołuje krajobraz, pełny cieni tajemniczych, szmerów „wiersz płaczących,” „ciszy wód błękitnych, podbitych gwiazdami” dla tego tylko, aby w tym krajobrazie, jak w zwierciadle, odbił się nastrój duszy ludzkiej, aby rzucić w ornamentacji egzotycznej na czoło bohatera utworu czarodziejские blaski romantyzmu. Krajobrazy, które kreśli w bladych, melancholijnych promieniach księżyca, nie są krajobrazami realnymi, lecz pełne są widziadł fantastycznych; snują się wśród nich „wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewię zasłony, przetkane jutrzzenki czerwieni.”

Czasami w poważnym, uroczystym nastroju pieśni króluje „święte milczenie borów sosnowych,” wśród których wiatr woła „szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana”—ale to tylko krajobraz duchowy przeszłości; w chwili teraźniejszej zaś poeta ogląda „szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą”—i woła: „Boga waszego niema tu już nigdzie.”

Widzimy więc, że przyroda w pieśni Krasińskiego traci swoje zarysy rzeczywiste, gdyż poeta przenosi ją w krainę abstrakcji, w krainę ideału, w krainę ducha, a najwyżej odtwarza ją w odczuciu metafizycznym-panteistycznym. Zbiera z niej te tylko obrazy, barwy i wonie, które mogą posłużyć do lepszego uwydatnienia idei, które dadzą się w świat ducha przenieść i na materyał fantastyczny przerobić.

*

*

Przechodzimy do innego odłamku poezji romantycznej naszej—do poezji stepów. Najwybitniejszymi przedstawicielami jej są: Antoni Malczewski, Seweryn Goszczyński i Bogdan Zaleski.

Śpiewak „Maryi” kreśli nam smutne dzieje bohaterów poematu swojego na tle stepów szerokich, pełnych barwnego kolorytu miejscowości. Step stanowi niejako tło obrazu, ale tło żywe i harmonizujące nastrojem swoim z treścią utworu. Niekiedy stanowi on, jak, naprzykład, na samym początku poematu, jedną istotę z człowiekiem, jakby miał jedną z nim duszę.

Jak poemat cały, przyroda oddycha melancholią, pełną ciszy, to rozbijała w tabunach wichrów, to rozbrzmiewająca w dumce żalostnej. Krajobraz widzimy szeroki, a tak tęskny, jak oko, spoglądające w dal jednostajną, pustą, głuchą. Więcej w nim życia pod ziemią, niż na jej powierzchni. Krajobraz to oddychający romantyzmem, odrębnym w urokach przyrody tak pierwotnej, jak gdyby świeżo wyszła z łona Boga; tonie on w burzanach, ma kwiaty „samotne i ciche,” których „wdzięk dziewczęce kwitną skrycie, od człeka nie skażone ręki,” kwitną w uściskach nieba tylko, „rosną bujnie, ale od-

w trzecich jakaś para nieznajoma Jadwidze, na czwarte i piąte nie zwróciła uwagi, w ostatnich poznała brata w towarzystwie niemłodej już kobiety, w pysznych lisach błękitnych, wdzięczącej się do pana Aleksandra... Przemknęli szybko i znikli w dalekiej perspektywie ulicy...

— Szlichtada,—zauważył Dudkowski.

— Chodźmy,—odezwała się Jadwiga.

Było już po wieczery, nakryty jednak stół stał po środku, z paczką opłatków na talerzu, w kącie pokoju jarzyło się drzewko ubrane w gruszki, jabłka i orzechy złoczone, na szczycie choinki świeciła gwiazda złocista, a nad nią kołysał się aniołek na gumce cienkiej. Na drzewku wisiały pudełka i pudełeczka, prawdopodobnie dary dla dziatwy szewckiej, która pod wodzą Józka hałasowała okrutnie.

— Cicho—panna Jadwiga nadchodzi,—zawołał szybko Andrzej — zasłyszawszy szmer w przedpokoju.

I zrobiło się cicho, jak makiem siał.

Ale zaledwie Jadwiga w progu stanęła, jak Józek do kolan jej przypadł i wołał, ręce nauczycielki całując:

— Nasza pani przyszła, nasza droga pani przyszła!...

A wtedy hałas się podniósł, że ledwie Andrzej mógł uśmierzyć rozradowanych malców.

— Zrobiłem smykom drzewko, — rzekł Dudkowski,—ale bez panny Jadwigi dotknąć go nie chcieli. Rej tutaj wodzi mój Józek i będzie dary rozdzielał... Do roboty chłopcy!

W jednej chwili drzewko ogołoczone zostało. Dziatwa wrzeszczała, biła w dłonie, podskakując jak na sprężynach. Wtem Józek wziął pakunek jakiś i zbliżył się z nim do Jadwigi.

— To od Józka dla panny Jadzi—rzekł.

Jadwiga przyjęła i ucałowała serdecznie chłopaka.

Były to oczywiście trzewiki — — jedna para pantofelków przeslicznych, a druga—buciki zimowe.

— I na co to, panie Dudkowski?—zwróciła się Jadwiga do Onufrego —

— To nie ja, to Józek!—bronił się pan Onufry...

— A pan dla mnie nic niema, panie Andrzeju?—spytała z uśmiechem, do Andrzeja się zwracając...

— Mam, pani!

— Co?

— Wdzięczność... za myśli, które po głowie błądzą mi czasem, i za uczucie, które biciem serca w mojej się piersi odzywa...

Przyłożył usta do ręki Jadwigi—

Jadwiga zabawiła godzinę całą, odśpiewała z dziećmi kolendę i wróciła do domu, odprowadzona przez Andrzeja.

Zastała Helenę—

— Ty u nas? droga, dobra!—zawołała wyciągając ręce do nowej przyjaciółki—

— A gdzie mam być?

— Zdaje się, że pani Porczyńska urządziła szlichtadę—

— I twój braciszek należy do niej, suwa się razem z Rabską...

— Kto jest ta Rabska?—

— Stara pannica—ma zęby wprawiane.

— Czy nie byłaś proszona, Helenko — że nie pojechałaś z nimi?

— Byłam, byłam proszona, ale odpowiedziałam im tak, że raz drugi już mnie nie poproszą.

Jadwiga się zaśmiała.

Towarzystwo pani Porczyńskiej używało szlichtady, a w domu Sośnickich bawiono się rozmową o dawnych czasach, wspomnieniami i nadziejami na przyszłość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ludnie gina,“ jak wiele jestestw ludzkich, stepy zalegających.

Człowiek żyje wśród tej przyrody, chwytając pierśią oddech jej szeroki, a ona, ta poważna, pierwotna macierz—natura, idzie za nim z twarzą smutną, melancholijną, bez ruchu, z milczeniem posepnym, grobowym, które niekiedy tylko przerywa krakanie wron, lub głos świerszcza polnego. Przyroda ta jednak ma życie swoje, ma wyraz swój, ale cichy, jak groby, a głęboki, jak milczenie smutku. Trzeba tylko umieć wsłuchiwać się w głosy jej tajemnicze, w melodyę jej dziką, gdy „wiatr szumi smutnie, uginając kłosa,“ gdy słycać westchnienia i jęki, a czasem „zdaleka wojennych rogów dolatuje granie.“

Niekiedy przyroda stepu odzywa się głosem żalu, gdy ruch ludzki zamiera, jak gdyby odczuwała zalegającą naokół pustkę. Wówczas:

„Włóczy się wzrok w przestrzeni, i gdzie tylko
[zajdzie,
„Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.“

Naówczas: „głucho—tylko jakaś w powietrzu
[rozterka.“

Po wyjeździe Waclawa na bój z Tatarami, w sercu Maryi tak pusto, smutno i tęskno, jak na łonie stepów szerokich, wśród których nic nie widać, nic nie słycać, tylko poświsty wichru, który „szare goni chmury.“

Gdy poeta odwróci oczy od stepów swoich ukochanych, wnet kreśli obrazy mniej ponętne, mniej żywe, mniej ciepłe i mniej poetyczne. Wtedy dusza śpiewaka staje się zimniejszą, zapatrzoną więcej we wzory klasyczne, niż w gorące, słoneczne promienie romantyzmu. Nie zachwyca nas, ani słońce, wstające „w różowej pościeli,“ które „blaskiem złotych warkoczy widnokrag weseli, i wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem w lśniące stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem.“ Nie zachwyca nas także „pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży dmucha na włosy dziewicy i pióra rycerzy.“ Jeszcze słabiej odczuwamy wdzięki gwaru „małych ptasząt, w żywej, słodkiej nuci, co z mokrych rosę dziobków wyrwa uczucie.“ Widzimy w tem wszystkim ozdobę poetyczną, martwą, konwencyonalną.

W innym znowu miejscu poeta opisuje zachód słońca barwami jaskrawymi, którym brak subtelności i ciepła:

„Słońce już wówczas, łuk swój zbiegając szeroki,
„Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
„A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
„Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.“

Dopiero po chwili obraz ożywia się i nabiera wyrazu prawdziwie poetycznego, gdy duch piewcy pograża się w melancholię na myśl o pożegnaniu, które słońce zachodzące posyła ziemi, nie śpiesząc się w swej drodze, jak gdyby wukochaniu wszystkich tworów ziemi, chciało je „napoić uśmiechem.“

„Jeszcze wзира przez szyby w mieszkanie
[człowieka,
„Jak wzrok tęsknej przyjaźni, co w podróż
[ucieka...“

Widzimy tu już obraz, owiany głęboką melancholią romantyczną. Poeta kończy jednak ten wspaniały hymn przyrody ustępem, dalekim już od zachwyków romantyzmu, zimnym, klasycznym:

„Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia
[ślady,
„Ciemny płaszcz wlecze z tyłu—dla zbrodni
[i zdrady.“

W ogóle u Malczewskiego opisy przyrody, równie jak opisy walk ludzkich, przypominają niekiedy muzę klasyczną, gdy poeta opiewa, na przykład, „rózowe porankiem natury obraz,“ lub maluje słońce, „wstające w różowej pościeli.“

Częściej jednak na falach uczuć duszy ludzkiej oko poety widzi niezwykle subtelne obrazy przyrody, a barwami i nastrojem tych wizerunków natury dodaje wyrazu obliczom swych bohaterów i dzieje ich życia uplastycznia. Na twarzy dzikiego mieszkańca stepu, „jak światelko w polu,“ „błyszczy radość.“ Na wspomnienie ukochanego w łonie Maryi:

„ Serce jak w wiosnie
„Ptak do słońca, do niego skakało radośnie.“

Smutek rzuca na oblicze kochanki Waclawa „mdle, blade światło...“

„ Jak gdy księżyc w pełni
„Niezwyczajem życiem rysy posągu napelni.“

„Radość na twarzy Maryi „mignie“ ledwie na chwilę i wnet „mija.“

„Jak promyk, co z obłoków na wyniosłe góry
„Błyśnie—i znów go skryją wiatrem gnane
[chmury.“

„Żywy, czysty strumyczek,“ który „mrucał na swą nikczemność, a w jeziorze zginał“—„sliczny kanarek,“ który „chciał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca“—oto symbole dawnej, znikłej wesołości Maryi.

W obec tragicznej śmierci bohaterki utworu, poeta wspaniale obrazuje za pomocą zjawisk przyrody posepne dzieje życia ludzkiego:

„W tym ciemnym ludzkich uczuć i posepnym lesie
„Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;
„Gubią listek po listku, aż w późnej jesieni,
„Jak mszyste, głuche dęby, stoją obnażeni.
„Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
„Rzucą z trzaskiem i grzmiotem dzikie tajemnice;
„I znów błysnie pogoda, i czasem się zdaje,
„Że weselsza zieloność po burzy powstaje:
„Lecz, kto bliżej się wpatrzy, choć pozór je-

[dnaki,
„Dostrzeże—czarne wewnątrz spalenizny znaki:
„A gdy w rażonem drzewie wicher rdzeń roz-

[żarzy,
„Któż pożar od pioruna gasić się odważy?
„I tak bujna krzewina zniszczenie roznieście
„W tym ciemnym ludzkich uczuć i posepnym
[lesie.“

Przyroda stepów daje Malczewskiemu najświeższe i najoryginalniejsze obrazy do odtwarzania zjawisk świata duchowego. Waclaw powiada, że „w stepowej i dzikiej umysłu pustyni lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini.“ W duszy tego bohatera, gdy jedzie na wojnę, wicher stepowy gra pieśń przeczuć bolesnych, a jego zapal wojenny jest szalem rumaka stepowego, który „rwie ziemię, ogień ciska i wiatry wymija.“ Gdy gorące serca Maryi i Miecznika ucichły w śnie wiecznym, na grobach ich rozkłada się cisza stepów i ich tęsknota...

Na odczuciu przyrody, jak i na całym utworze Malczewskiego, duch Byrona wyrzył niezawodnie potężne swe znamię; brak tu jednak te-

go demonizmu, który spogląda obliczem ponurem z utworów wieszczki Anglii; zniszczyła go łagodność temperamentu narodowego. W pieśni śpiewaka „Maryi“ przeważają tony ciche, głębokie a pełne smutku i tęsknoty, jak stepy, bezbrzeżnej. Przyroda służy pocie nie za ucieczką od świata zniestanowionego, a za żywe tło dla obrazu, za część jego, która łączy się z całością tchnieniem, wiejącem w serca ludzkie od natury swojskiej i wytwarzającym pewne właściwości uczuć, temperamentu, wierzeń i fantazyi. Aczkolwiek dusza poety, na nutę bajronizmu ponuro nastrojona, rzuca często na przyrodę cienie olbrzymie a posepne; cienie te jednak jak i cały nastrój przyrody, łączą się w harmonii niezrównanej z realnym jej wizerunkiem z dzikiem tłem stepów szerokich.

(Dalszy ciąg nastąpi),

Z bieżącej chwili.

— W myśl odezwy ministeryum spraw wewnętrznych wydane w poprzednich latach ograniczenie procentowe względem młodzieży żydowskiej tracąc moc obowiązującą przy wstępowaniu jej do szkół felczerskich, akuszerskich, dentystycznych i innych zakładów naukowych, zostających pod zarządem tegoż ministeryum. Zniesione również zostają ograniczenia procentowe, w stosunku do liczby ogólnej, przy wstępowaniu żydów na uczniów do aptek i na asystentów przy aptekach.

— Z uwagi na projektowane wkrótce zaprowadzenie wykładów higieny w średnich zakładach naukowych, rozesłało ministeryum oświaty okręgowym naukowym program tychże wykładów, opracowany przez towarzystwo ochrony zdrowia.

— Warszawianka p. Regina Złotowska, posiadająca dyplom doktora medycyny uniwersytetu paryskiego, po złożeniu egzaminu przed komisją w uniwersytecie charkowskim, otrzymała tytuł lekarza z prawem wykonywania praktyki lekarskiej w Cesarstwie Rosyjskiem. P. Złotowska osiada w Warszawie.

— Następcą zmarłego prałata Sebastjana Kneippa w Würshofen mianowano proboszcza J. Zuckermaiera z Siegertshofen. Nowy proboszcz, syn piekarza, liczy dopiero 36 lat, i jest wielkim zwolennikiem metody Kneippa, aczkolwiek dotychczas nie zajmował się praktycznym jej zastosowaniem.

— Pięćsetną rocznicę urodzin Jana Gutenberga, wynalazcy sztuki drukarskiej, przypadającą dn. 24-go czerwca r. 1900 obchodzić będą Niemcy nadzwyczaj uroczystości. Już obecnie przygotowują się wielkie uroczystości w Moguncyi, gdzie zawiązały się w tym celu dwa komitety: jeden dla urządzenia uroczystego obchodu, drugi dla urządzenia odczytów naukowych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 2 powieści, p. t. *Raj Klaudyi*, Wildenbrucha. — Arkusz 1 powieści p. t. *Romans Królowej*. Przekład Z. S.

Treść: Ś. p. Józefa Kamocka, przez Szczęsną.—Pogawędka, przez ??—Wystawa pracy kobiet. IV, przez Anatola Krzyżanowskiego.—Gdy umrę, przez Władysława.—Karol Lamb. Dawno znajome mi twarze, przez Władysława Nawrockiego.—Kazimierz Gliński. Wrócił Powieść. (dalszy ciąg).—Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg).—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Raj Klaudyi*, powieść, Wildenbrucha, arkusz 2.—*Romans Królowej*, powieść, arkusz 1. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 40 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiada.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 12 Ноября 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg